

A dramatic photograph of a sailing ship's mast and rigging against a sunset sky over the ocean. The mast is a dark, polished wooden pole, angled from the bottom left towards the top right. It is surrounded by a complex network of white ropes and pulleys. In the background, a dark, forested island is visible on the horizon under a sky with soft, orange and yellow light from the setting or rising sun. The ocean is a deep blue with white-capped waves.

Przemysław Kałaska

SKA SYN KAMIENIARZA

Do serii

„Opowieści ze Świata Równiny”

Należy:

SKA SYN KAMIENIARZA

UPADEK ARCYMAGA

WŁADCY CZARNEJ WIEŻY

W przygotowaniu:

POSŁAŃCY KOSZMARU

Polecam także:

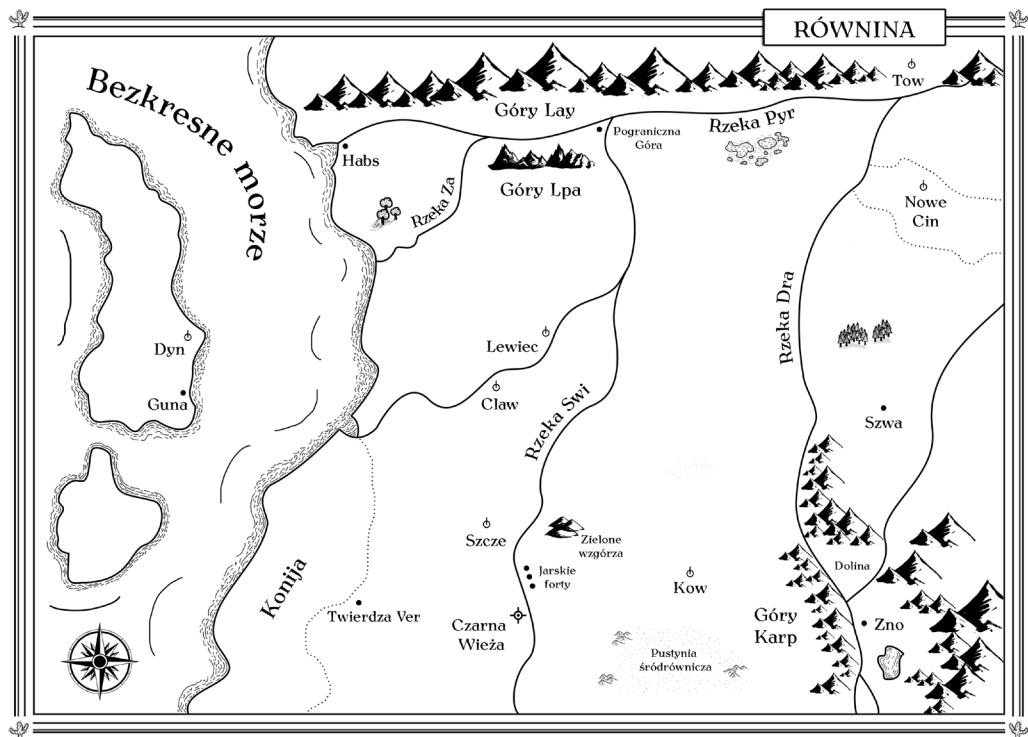
WRÓG Z PRZESZŁOŚCI

PRZEMYSŁAW KAŁASKA

SKA SYN KAMIENIARZA

WARSZAWA • 2022

[Kup książkę](#)



W każdym pokoleniu przychodzi na świat grupa ludzi wybitnie utalentowanych. Tych, którzy władają magią i mają talent by rzucać uroki. Dawno temu nazwano ich magami. Nikt nie wiedział, co sprawia, że niektórzy rodzą się z tym darem inni zaś, pomimo intensywnego treningu, nie są w stanie rzucać najprostszych zaklęć. Porażka ruchu „Właściwych Rodziców” dowiodła, że bez wątpienia potencjału magicznego nie da się odziedziczyć. Bowiem, podczas gdy pary specjalnie wyselekcjonowanych, najbardziej utalentowanych użytkowników magii, wydawały na świat beztalencia, pośród prostych pasterzy, w których rodzie nie znać było maga, przychodziły na świat dzieci o nadzwyczajnych możliwościach i magicznych predyspozycjach. Jak to jednak często bywa, o ile idea selektywnego rozrodu przegrała z rzeczywistością, to stojący za nią czarodzieje nie mieli zamiaru oddawać władzy i przywilejów nowemu pokoleniu przeznaczonemu by być magami. Zamiast tego wzniesli podwaliny opresyjnego systemu, w którym na przekór przeznaczeniu, magami mieli być tylko ci wywodzący się spośród istniejącej elity, nieważne ile mieliby realnej mocy.

Prolog

Ska obudził się o świcie. Pierwsze promienie słońca właśnie zaczynały zaglądać przez szybkę, a szczeliną w oknie sączył się gwarliwy jazgot portowego życia. Chłopak uniósł się energicznie i sięgnął po kubek z wodą by przepłukać zeschnięte, pełne goryczy gardło. Nie wiedział czy gorycz wywołało szorstkie morskie powietrze, czy może była wynikiem snu. Tak, sen. Jego skrawki ulatywały z pamięci chłopaka niby spłoszone jelenie. Nawet nie wysiłał się by poskładać je do kupy. Miał wystarczająco wiele problemów aby jeszcze przejmować się do tego nocnymi majakami. Obudził się bowiem tam, gdzie nigdy nie chciał się znaleźć. Nim tego ranka otworzył powieki miał jeszcze przez moment nadzieję, iż to właśnie świat snu jest tym właściwym, a podróż w jaką wyprawiła go akademia, tak naprawdę była przypisana do sfery snów. Niestety, gdy otworzył oczy, bezwzględna prawda wraz z drewnianym, malowanym na biało sufitem uderzyła go prosto w twarz. Choć cios otrzymał jedynie w przenośni, jęknął i skulił się pod kocem. Pomyśleć, iż zaledwie trzy dni temu wszystko wyglądało jeszcze tak wspaniale. Jego wielkie marzenie, by studiować w akademii magów środkowej równiny, zaczynało się spełniać. Wraz z tysiącami innych został zaproszony na oficjalną inaugurację, gdzie spośród zakwalifikowanych miano wyczytać przyszłych absolwentów. Chłopak, jak i cały zgromadzony wokół pomnika tłumek, czekał aż Arcymag odczyta jego nazwisko. Nie przeszkadzała mu wówczas nawet śmiertelnie nudna uroczystość, podczas której magowie wręczali sobie

nawzajem, z fałszywymi uśmiechami, odznaczenia. Przetrwał ją z niezachwianym spokojem wmawiając sobie, że jest to cena za przyjęcie do Akademii. Nawet klaskał kolejnym odznaczonym, z mistrzowsko zagranym uznaniem. Kilku z nich schodząc z podium uśmiechało się patrząc, o czym był przekonany, na niego. Młodzieniec tryumfował błędnie odczytując w tym geście wyrazy uznania dla swojej postawy. Zastanawiał się czy ci szafujący uśmiechami czarodzieje staną się w niedalekiej przyszłości jego sprzymierzeńcami? Od którego z nich nauczy się zaklęć? Kto stanie się mentorem chłopaka, za którym ten podąży? Później nastąpiło otrzeźwienie. Tam na placyku pod posągami pierwszego Arcymaga jego następcą odczytał na głos listę. Chłopak nie usłyszał swojego imienia. Następnie Arcymag odczytał kolejną listę, tym razem była to lista zarezerwowana dla dziewczyn. Ska, który jeszcze wówczas nie stał się Ską, był przekonany, iż pomyłono się i umieszczono go na drugiej liście. Tam jednak również nie figurował. Następnie Arcymag odetchnąwszy z przesadzonym wyrazem wycieńczenia na twarzy zwinął obie listy i zaprosił odczytanych do wieży. Przekonany o pomyłce chłopak podszedł wówczas do zwierzchnika i zapytał się czy jest to lista jakoś wyróżnionych. Był bowiem przekonany, że nie kazano mu podróżować tak daleko, skoro został zakwalifikowany. Wtedy właśnie, po raz pierwszy w życiu, napotkał twarz Arcymaga pozbawioną maski pochlebczej uprzejmości, jaką ten przywdział na czas inauguracji, a pewność siebie chłopaka stopniała pod naporem ironicznego spojrzenia i szyderczego uśmiešku niedoślego mentora Ski.

— To lista przyszłych absolwentów naszej akademii — posłyszał lakoniczną odpowiedź starca, a jego świat runął w gruzy. Chwilę później oprzytomniał jednak i rozejrzawszy się wokół dostrzegł setki zaskoczonych, równie mocno jak on, twarzy. Podbiegł więc do odchodzącego już zwierzchnika Akademii i zapytał raz jeszcze, tym razem dobitniej

— A my? — odpowiedziało mu wzruszenie ramion, po czym plecy odchodzącego Arcymaga zniknęły za zatrzaśniętymi z mocą drzwiami. Chłopak natomiast wrócił pod pomnik, usiadł na wygrzanych słońcem schodkach i ukrył twarz w dłoniach.

Wokół, niby strute muchy, kręcili się inni niedoszli absolwenci wciąż jeszcze, zdałoby się, żyjący iluzją innego sprawiedliwszego świata. Wówczas właściwie, pod pomnikiem pierwszego z Arcymagów, narodził się Ska, żyjący z dnia na dzień człowiek, którym ten załamany chłopak sprzed akademii był teraz. Ska nie miał problemów tylko głowę pełną rozwiązań. Za posiadane pieniądze wynajął pokój w porcie na poddaszu i zaczął szukać innej drogi by dostać się do Akademii.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Narodziny Maga

Napisawszy odwołanie od decyzji o nie przyjęciu, przez jeden dzień Ska łudził się, że otrzyma pozytywną odpowiedź. Nie udało się, więc kolejny dzień spędził w ratuszu. Tam spodziewał się zyskać nieco informacji na temat magów z Akademii, której to miasto w końcu podlegało, ale miejscowi zdawali się oderwani od „wielkiego świata magów”, byli zajęci własnymi sprawami, a o Akademii wiedzieli jedynie, że wymusza płacenie zbyt wysokich danin i usiłuje wszystko regulować. Na odchodnym zarządca rybackiej wioski spytał Skę, czemu tak interesuje się Akademią. Ten natomiast odpowiedział zgodnie z prawdą, że został zakwalifikowany w poczet przyszłych uczniów magów. To sprawiło, że urzędnicy zaczęli go traktować nieco inaczej. Zachowywali się wobec niego z ostrożną podejrzliwością. Niemniej niewielkie nagięcie prawdy przyniosło niebawem efekty. Trzeciego dnia Ska miał zamiar znów udać się do Akademii szukając alternatywnej drogi, gdy przed wejściem do przyportowego zajazdu zaczął go wysoki, ciemnowłosy chłopak o okrągłej twarzy i lekko skośnych oczach. Przedstawił się jako Asztom i zaprosił Skę na pokład nowoprzybyłego do portu okrętu. Jego kapitan charakteryzował się bujną brodą przeplatanych siwizną włosów. Jego oblicze w połowie skrywała osłona garnczkowego hełmu wykonanego na zamówienie. Dowódca nowo zakotwiczonej jednostki pływającej był szorstki w obyciu, jednak wobec Ski siłił się na widoczną uprzejmość. Usiłował ugościć chłopaka rumem, a gdy ten odmówił, gospodarz o ogorzałym obliczu, krótko i zwięźle przedstawił Sce projekt

niezwykłego przedsięwzięcia, na którym jego uczestnicy mieli zarobić majątek. Kapitan właśnie nazwał chłopaka Ską gdyż nie był w stanie wymówić jego prawdziwego imienia, po czym zaproponował mu zaokrętowanie. Potrzebował, jak wyjaśnił, pokładowego maga by w ogóle móc wypłynąć, a zarządca miejscowej osady, z którym Ska rozmawiał poprzedniego dnia, polecił chłopaka. Najwyraźniej słowa, zakwalifikowany i akademia czyniły, że Ski maga w oczach małomiejskiego urzędnika. Sam zainteresowany już chciał wyjaśnić nieporozumienie, gdy niespodziewanie, pod wpływem impulsu, przystał na propozycję kapitana. Dalsze zwodzenie dowódcy okrętu, choć przez jeden dzień, zdawało mu się znakomitym rozwiązaniem. Dzięki temu mógł przez chwilę czuć się jak mag. Ska otrzymał jeden dzień na przygotowanie się i uregulowanie kwestii formalnych. Potem mieli wyruszyć. Ska udał się tego dnia do Ratusza pozgrywać nieco wielkiego maga z Akademią. Ku jego zdziwieniu, wniosek jaki złożył, przeszedł pozytywną weryfikację. Najwyraźniej nikt w miejscowości nie trudził się sprawdzaniem tożsamości wnioskodawców. Szczególnie nieopisaną, na wpół złośliwą radość, sprawił chłopakowi fakt, iż ów wniosek złożył, jako właśnie Ska z Akademii. Nim oddał dokument kapitanowi długo napawał się jego treścią. Sam kapitan i załoga byli zafascynowani gładkością, z jaką chłopakowi udało się zdobyć pozwolenie. Nazajutrz zaprosili go do karczmy na, jak się okazało, wystawny bankiet. Ska był zdziwiony, jednak Asztom, pełniący na statku rolę młodszego marynarza i jednocześnie chłopca od wszystkiego wyjaśnił mu, że to tradycja załogi. Ostatni wieczór na lądzie kończyło zawsze obżarstwo i pijaństwo. Ska zjadł z umiarem, a pił jedynie wodę. Nie chciał narażać kapitana na koszty, co ten mógłby mieć mu za złe kolejnego dnia, gdy, co zamierzał uczynić, będzie wyjaśniać całe nieporozumienie. Niemniej tego wieczoru pozwolił załodze raz za razem pić swoje zdrowie. Cieszył się każdą chwilą biesiady jakby naprawdę zasłużył. Natomiast, gdy po zabawie wracał do wynajętego pokoiku, był wręcz przekonany, iż faktycznie zasłużył na uznanie. Ostatecznie wiele zrobił, by dostać się do

Akademii. Nim jeszcze osiągnął odpowiedni wiek chłonał każdą informację oraz księgę dotyczącą magii i magów, jaką mógł dostać. Znał doskonale historię świata magicznego, wszelkie legendy stanowiące jego podwalinę, a także wiele podstawowych zaklęć. Magia fascynowała go i nie wyobrażał sobie innego życia niż właśnie maga. Zасыpiając, oczyma wyobraźni obserwował owocne dyskusje, dzięki którym świat magii rozwinałby się i wzbogacił. Chłopak miał wiele pomysłów, które chciał przedyskutować z magami. Jednak nie dostał tej szansy. Potem nastał ten ranek. Kubek wody łągodzący nagromadzoną w gardle gorączkę. Ostatnie chwile w pokoju, z którego i tak musiał się wyprowadzić. Oraz droga do portu. Ska szedł z wolna usiłując chłonać każdy moment i nieco odwlec czas, w którym przestanie być magiem Ską, a wróci do postaci Ski nieprzyjętego do Akademii. Rozhulana wyobraźnia podsuwała mu mroczne rozwiązania. Nieomal widział wyraz wściekłości na twarzy oszukanego Kapitana oraz prawie czuł jego dłonie na swoim gardle. Potem przybywała straż portowa. Uwalniała Skę z rąk oszalałego z wściekłości marynarza i wlokła na proces. Bał się tego, co ma nastąpić, ale był przekonany, że musi ponieść konsekwencje. Choć jeden dzień był magiem, pocieszał się w duchu. Udało się, choć na moment — pomyślał i wkroczył na trap wciąż jeszcze stojącego na kotwicy okrętu. Chciał od razu zejść do kajuty kapitańskiej, ale gdy tylko zjawił się na pokładzie zauważył byczą posturę wywrzaskującego rozkazy dowódcy okrętu. Obok kapitana stał średniego wzrostu jego mość z miną męczennika. Serce podskoczyło Sce do gardła, gdy rozpoznał strój maga. Przez moment górę wzięła panika i Ska miał zamiar odwrócić się i uciekać, jednak uświadomił sobie, że nie zabiegłby daleko. Mag zapewne unieruchomiłby go jednym gestem. Ska nie wątpił w to. Ostatecznie sam znał kilka metod unieruchomienia. Co prawda każde zaklęcie wymagało wcześniejszego przygotowania, jednak chłopak był jedynie niedoszłym absolwentem, natomiast zajmujący miejsce po prawicy kapitana człowiek, magiem. Niewątpliwie posiadał niesamowitą moc, o której sile młodzieniec miał się niebawem przekonać.

Ska zbliżył się chwiejnym krokiem. Odczekał chwilę, a gdy kapitan skończył linczować jakiegoś marynarza wiązką wyzwisk, o jakich istnieniu Ska nawet nie słyszał, nowoprzybyły skinął mu głową.

— No nareszcie, ryknął basowo dowódca jednostki. Jest nasz czarodziej, to znaczy, że możemy wypływać — ni to zapytał, ni stwierdził żeglarz. Mag nawet nie spojrzał na Skę, przejechał tylko wzrokiem po trzymanym w lewym ręku zwoju, po czym przywoławszy na twarz dziwaczny grymas, rozejrzał się niewidzącym spojrzeniem wokół. Ska chciał zacząć wyjaśniać całe nieporozumienie, ale kolejny niespodziewany atak paniki skutecznie uniemożliwił mu dobytec z siebie głosu. Mag zmarszczył brwi i zrobił krok w kierunku chłopaka. Ska zamknął oczy przewidując, iż zaraz magiczna siła co najmniej rozerwie go na strzępy, jednak czarownik zwyczajnie go minął. Podszedł za to do stosu skrzyń zajmujących miejsce przy lewej burcie.

— Są nieregularnie zabezpieczone — odpowiedział kapitanowi, a na jego twarzy zawitał wyraz tryumfu. Wilk morski ryknął gniewnie

— Asztom! — na co chłopak zjawił się niemal jak spod ziemi

— Jak zabezpieczyłeś skrzynie upośledzony synu kałamarnicy! Popraw to, bo do pełni będziemy gnić w tym zapyziałym legowisku szczurów lądowych! — Młodziak skoczył ku skrzyniom i przywoławszy skinieniem innego marynarza, z wytatuowanym na przedramieniu trójzębem, rozpoczął rozwiązywanie mocowania. Mag obserwował pracę ze złośliwą satysfakcją. Gdy mocowania zostały poprawione, czarnoksiężnik zaczął rozglądać się za kolejną nieprawidłowością, dzięki której mógłby uprzykrzyć życie kapitanowi. Ska obserwował go w napięciu przekonany, iż jest to gra pozorów maga. Nadzorca musiał zdawać sobie sprawę ze sfałszowanego podania i chciał się jedynie popastwić na załodze, przy okazji każąc w ten sposób Skę.

Chłopak nie miał jednak zamiaru pozwolić na to magowi. Ostatecznie jedynie on zawinił. Członkowie załogi nie zasługiwali, by karać ich za przewinienia Ski.

— Kapitanie, muszę coś wyznać... — zaczął chłopak, jednak przerwał mu okrzyk ze strony portu

— Nadzorco Marevi, Grzeszna Laguna nie opłaciła myta, ich załoga chce opuścić port bez uiszczenia opłat! — mag niby oparzony rzucił się ku burcie

— Nie dajcie im odpłynąć! Zaraz tam będę! — odkrzyknął, po czym śpiesznie ruszył w kierunku trapu.

— Co z nami? — zapytał mijającego go czarodzieja kapitan, ten natomiast burknął coś w stylu

— Wynoście się z mojego portu — po czym pośpiesznym krokiem opuścił pokład. Ska nie rozumiał, co się dookoła niego dzieje. Był przekonany, że to jakiś żart, inna metoda zemstczenia się na nim. Cekał, aż załoga zacznie rechotać i wskazywać go palcami. Tymczasem kapitan przynaglał do wypłynięcia. Marynarze zwinęli trap i chwycili wiosła. Drewniany pokład zakołysał się, po czym zaczął przesuwać się do tyłu.

— Żwawo zatęchłe ropuchy, bo posmakujecie batoga! — ryczał kapitan, tymczasem ląd oddalał się od Ski. Następnie statek zatrzymał się. Chłopak spojrzał w stronę dowódcy, ten jednak był zatopiony w łajaniu własnych podwładnych. Trirema powoli obróciła się wokół własnej osi, po czym podniesiono żagiel i przy niewielkim wspomaganii wiosłarzy statek opuścił zatokę portową. Wtedy dopiero kapitan przypomniał sobie o Sce.

— Chciałeś czegoś magu? — spytał się obrzuciwszy chłopaka podejrzliwym łypnięciem spod brwi.

— To już nieważne — wybąkał w odpowiedzi niedoszły mag, po czym postanowił zejść kapitanowi sprzed oczu. Sam nie wierzył jak mu się udało wyjść bez szwanku z matni, w jaką się wplątał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Brzegi Dyn

Suche, stojące powietrze przesycone ostrą wonią igliwia przeciął długotrwały okrzyk — zeeeeeeemia — płosząc wielobarwne ptactwo. Zdobiona wizerunkiem Syrpi, mitycznego stworzenia skrzydlatej kobiety trirema, z wolna zaczęła zwijać żagiel. Czerwono, niebiesko-żółte burty okrętu, wyblakłe od morskich smagnień i nagromadzonej na drewnie soli, wypłuły trzy równe rzędy wiosła, które po chwili poczęły pracowicie mleć wodę. Obłupany kikut po taraniu z przodu świadczył, iż zbliżająca się żwawo ku brzegowi smukła sylwetka była niegdyś jednostką bojową. Załoga statku do wtóru uderzeń bata, w pocie zgiętych karków, raz za razem to ciągnęła, to pchała drewniane sztyce. Po prawicy dowodzącego półżaglowcem Hamnona stał Ska. Morskie życie zahartowało go nieco pomimo, że praktycznie nie uświadczył ciężaru pracy. Wśród żeglarzy cieszył się niezwykłym mirem, który zdawał się wręcz wzmacniać ostatnimi dniami. Ani dowódca, ani też żaden załogant nie dopuszczali by pracował wraz z resztą, co wielokrotnie oferował. Hamnon tłumaczył to potrzebą rewanżu załogi. Ostatecznie to dzięki chłopakowi w ogóle opuścili port. Młodzieniec rozumiał emocje mogące targać wilkami morskimi, z których każdy zdawał się mieć w gruncie rzeczy miękkie serce, jednak sumienie wciąż dogryzało. Był oszustem, niemniej otrzymał najlepszą zaraz za kapitańską kajutę i jadał w towarzystwie dowódców, nie z załogą. Szczęście zdawało się nie opuszczać młodzieńca ani na moment.

Pokład drgnął, a od dołu doleciało trzeszczenie. Kapitan skinieniem połączonego z czymś na kształt okrzyku dał znać by marynarze odstąpili od wiosł. Niedośzły mag wyrzwał zza burty i zrozumiał, co nastąpiło. Dotarli na mieliznę. Hamnon poprawił hełm z nieodłączną osłoną skrywającą prawą żrenicę, po czym rzucił przez ramię

— Zostań na miejscu magu, teraz zobaczysz siłę, jaka naprawdę drzemie w mych druhach — i wsparłszy się pod boki stanął okra-kiem. Tymczasem żeglarze wyciągnęli podczepione pod mocowania na dziobie liny i zaczęli wyskakiwać przez burty. Pokład opustoszał. Ska spojrzął na uśmiechniętego od ucha do ucha kapitana. Hamnon zamknął oczy i wystawił twarz ku słońcu, natomiast chłopak zastanawiał się, o co mu chodzi nim poczuł pod stopami drgnięcie, a następnie szarpnięcie. Okręt poruszał się, choć byli na mieliznie. Linia drzew przybliżała się do dziobu, natomiast mocowania trzeszczały. Załoga wciągała ich na brzeg, a jej przełożony chłonał chwilę z wyraźną satysfakcją na twarzy. Niebawem czar prysł, natomiast okręt stanął. Ska zrozumiał, iż nadszedł czas by wraz z kapitanem opuścili pokład. Na lądzie powitał ich widok dwóch dziesiątek mężczyzn wbijających kołki i ścinających drzewa. Hamnon wręcz promieniał. Zachęcał co prawda towarzyszy by wytężali siły, jednak zwyczajowe dla niego obelgi przybierały niemal żartobliwy ton. Reszta marynarzy zdawała się podzielać entuzjazm przywódcy. Ska jak zwykle stał z boku czując się niepotrzebny. Po chwili zbliżył się ku niemu Asztom. Twarz chłopaka zdawała się nie podzielać ogólnie panującego entuzjazmu załogi.

— Ciesz się, gdyż niebawem zdobędą skarb — wyjaśnił, jakby od niechcenia.

— Zrozumiałe — odpowiedział Ska, a widząc naburmuszoną twarz towarzysza dodał

— A ty się nie cieszysz? — odpowiedziało mu wzruszenie ramion, po czym najmłodszy z marynarzy odwrócił się i odszedł jak zwykły czynić. Od opuszczenia portu relacje z Asztomem nieodmiennie się psuły, natomiast teraz Ska miał wrażenie, iż chłopak wręcz go nie znosi. Być może nie odpowiadała mu popularność, jaką zyskiwał młody mag wśród załogi.

Wyruszyli, gdy słońce stanęło w najwyższym punkcie nieboskłonu. Żar był straszliwy, Hamnon niemniej zdawał się odporny na wszelkie argumenty podsuwane mu, przez co mniej chętnych do podróży w skwarze, członków ekspedycji. Zrugął maruderów, po czym marynarze zabrawszy swe standardowe uzbrojenie do walki na morzu, sformowali kolumnę i wyruszyli krętą, leśną ścieżką w stronę majaczących w oddali wzgórz. Ska siedł w środku szyku osłaniany przez towarzyszy z każdej strony. Tak zarządził kapitan, a chłopak, mimo że nadopiekuńczość załogi stawiała się powoli uciążliwa, nie protestował. Posuwając się między zaroślami członkowie dziesięcioosobowej wyprawy mieli nadzieję, iż leśny cień złagodzi nieco natrętą spiekotę, jednak operujące z wysoka słońce zdawało się przewiercać między gęstym listowiem. Marynarze piekli się żywcem w drewnianych hełmach i naramiennikach, niemniej gdy jeden z idących postanowił zdjąć z głowy ciężący mu już element pancerza, dowódca wpadł w szal i niemal zatłukł kamrata bijąc na odlew raz z jednej, raz z drugiej strony. Pośród leśnych kniei humor załogi szybko zrzedł, natomiast powiązane z napięciem wyczekiwania malujące się na licu kapitana, zaczęło udzielać się wszystkim. Szli szybko wyteżając siły i mimo, że grunt niebawem zaczął się podnosić, Hamnon nie dozwolił zwolnić marszu. Wściekł się również, gdy idący za nim Asztom zanucił starą morską przyspiewkę. Chłopak zamilkł jak niepyszny, a kapitan wstrzymawszy pochód, chwilę nasłuchiwał. Las zdawał się spokojny, to jednak nie przekonywało dowodzącego niewielkim oddziałem. Po chwili postoju ruszyli ponownie, tym jednak razem Kapitan wręcz rwał do przodu. Stromy grunt nieco ustąpił podobnie

jak i wszechotaczające krzaki. Las przerzedził się, po czym całkiem zniknął. Żeglarska drużyna Hamnona dotarła na szczyt pierwszego wzgórza. Przed marynarzami rozciągała się rozległa polana, z której mogli obserwować zapierający dech w piersiach obraz. Jak okiem objąć ciągnęły się pokryte drzewami wzniesienia, a pośród nich majaczył skąpany w chmurach pojedynczy szczyt.

— Tam. To nasz cel — rzekł niezbyt głośno Hamnon do stojących za nim ludzi.

— Kamienna Góra — dodał ktoś z tyłu, jednak kapitan wyraźnie na tym miał zamiar zakończyć rozmowy. Gestem nakazał krótki postój. Przepoceni mężczyźni padli gdzie stali i ugasiwszy pragnienie z bukłaków leżeli z przymkniętymi oczyma. Forsowna wspinaczka zdawała się teraz bezcelowa, niemniej Hamnon nie przestawał być czujny. Przykucnął na skraju lasu i zdawał się wiercić wzrokiem przestrzeń między drzewami. Pięć minut później wznowili marsz. Nim jednak na powrót zagłębili się między drzewa, ze wszech stron zaczęły dolatywać ich zwierzęce piski. Hamnon zakławszy siarczyście zatrzymał pochód, po czym wrzasnął na całą gardziel — Formować okrąg! Chronić maga! — nim skończył, spomiędzy drzew posypały się ku nim kamienie. Ska przełknął ślinę rozumiejąc, iż niebawem kompani będą oczekiwać od niego czarnoksięskiego wsparcia i jego oszustwo niechybnie wyjdzie na jaw. Nim jednak zdążył dokończyć myśl, w ślad za drugą salwą kamiennych pocisków odbijających się od drewnianych hełmów oraz podłużnych owalnych tarcz umocowanych na przedramionach marynarzy, wybiegły z wrzaskiem człekokształtne istoty. Były to bez wyjątku kobiety. Przypominały nieco ludzi, jednak ich skóra była czarna niby smoła. Ich głowy były łyse z wyjątkiem niewielkiego okręgu pośrodku, skąd kaskadą rozlewały się na plecy białe jak wyszorowana kość włosy. Języki nacierających w furii stworzeń przebite były kościaną ozdobą, podobnie jak ich nosy. Marynarze dobyli zatkniętych dotąd za pasem toporków

i krótkich zakrzywionych mieczy i gdy napastniczki były o odległość skoku od nich ruszyli im na spotkanie. W dłoniach atakujących zawirowwały drewniane, wieńczone kamiennym owalem maczugi. Polała się krew z odrąbywanych kończyn. Marynarze mieli w tej konfrontacji wyraźną przewagę, hełmy dobrze broniły ich przed ciosami maczug, natomiast krótkie, stalowe miecze wygięte do wewnątrz pod kątem trzydziestu stopni, zapewniały im morderczą skuteczność cięć. Niemniej atakujące istoty zdawały się niewrażliwe na ból. Powierzchowne cięcia nie robiły na nich wrażenia. Ich rozszerzone źrenice przesyciła żądza mordy, natomiast nieludzko ostre zęby przepajały grozą. Walka nie trwała długo, nim czarnoskóre istoty odstały pozostawiając za sobą około dziesięciu ciał z odrąbanymi kończynami. Jak dotąd obrońcy nie stracili żadnego z towarzyszy, choć dwóch marynarzy przypłaciło potyczkę przetrąconym ramieniem. Drużyna Hamnona nie miała jednak czasu by radować się tym sukcesem. Napastniczki walczące nago, za wyjątkiem opaski biodrowej i przewieszzonej między nogami chusty, zdobnej w runy i magiczne symbole, przeorganizowały się i znów spróbowowały natarcia. Tym razem pod koniec szarży zwolniły i wypłuły z ust chmury czerwonego proszku. Nie dotarł on do Ski, jednak kilku obrońców stojących bliżej odskoczyło w tył i padło na ziemię pocierając oczy. Ich przyjaciele walczyli dalej zażarcie. Jęki rannych i piskliwy jazgot napastniczek zlały się w jednolitą kakofonię. Gdy męczyzna po prawej stronie Ski osunął się bez przytomności na ziemię, chłopak pochwycił jego miecz i starł się z ciemnoskórą wojowniczką. Atakująca maczugą usiłowała wyprowadzić cios w głowę chłopaka, jednak ten uchylił się i wiedziony przyływem adrenaliny ciał wracającą dłoń. Trysnęła posoka, jednak atakująca jakby nie zrozumiała, że wraz z ręką straciła broń, zamachnęła się ponownie i tym razem cios dotarł do chłopaka. Ugodzony kikutem w twarz upadł, natomiast przeciwniczka skoczyła na niego usiłując rozszarpać mu gardło zębami. Zatrzymał ją w ostatniej chwili, po czym przebił jej trzewia mieczem. Napastniczka miotana się z wrzaskiem, drapiąc i kłusząc jeszcze chwilę, stopniowo jednak siły

zaczęły ją opuszczać, a potem nagle znieruchomiała. Ska wyczołgał się spod niej. Jego oczom ukazały się pierzchające z powrotem w stronę lasu kobiety unoszące ze sobą trzech nieprzytomnych marynarzy. Ich towarzysze byli zbyt wyczerpani by próbować odbić jeńców. Tym razem starcie miało o wiele krwawszy przebieg. Napastniczek padło około dwudziestu, niemniej obrońcy poza trzema uprowadzonymi towarzyszami przypłacili konfrontację wieloma ranami. Poza tym ugodzony pałką żeglarz, którego ratował Ska, miał się już nie obudzić. Nim zaszło słońce drużyna Hamnona zeszła ze wzgórza. Czarne stworzenia nie niepokoiły ich więcej, niemniej każdy z nich czuł, że podążają ich tropem. Gdy zapadł zmierzch podróżnicy rozłożyli obozowisko i rozpalili ogniska. Chcieli wystawić warty jednak zjawiły się chmary komarów, od których ukąszeń bezpieczni byli jedynie ci znajdujący się w środku kręgu ognisk. Asztom i Ska pomagali opatrywać rany towarzyszom broni, gdy na stoku wzgórza ujrzeni łunę ognia najwyraźniej palonych przez napastniczki. Potem zaczęła się symfonia wrzasków ich schwytanych towarzyszy, która ucichła dopiero trzy godziny później. Tej nocy nikt nie był w stanie zmrużyć oka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rzeka

Hamnon, siedzący na skraju bezpiecznej od komarów przestrzeni, wpatrywał się intensywnie w migoczące między drzewami ognie obozowiska ich prześladowczyń. Wyglądało to jakby kapitan chciał siłą woli przenieść się do obozowiska wroga, by pomścić swych ludzi. Krzyki ucichły około północy. Martwa cisza przeszywająca mroźne nocne powietrze okazała się znacznie gorsza niż wieczorne jęki katowanych. Teraz bowiem byli pewni, że ich przyjaciele zmarli i mogli się jedynie domyślać jakich mąk doświadczyli nim skonali. Wyobrażenia natomiast podsuwała im do głów najpotworniejsze obrazy. Nad ranem obóz odciętych od morza żeglarzy zapadł w swego rodzaju marazmatyczny półsen. Nie przyniósł im on wypoczynku, jakiego potrzebowali. Przerywane drzemki, w jakie zapadali co poniektórzy, kończyły się zazwyczaj fałszywym alarmem i zamieszaniem w obozie. Gdy zaświtało plaga komarów prześladowająca ich nocą zniknęła, a jej miejsce szybko zajął upalny zaduch. Hamnon kazał zebrać obóz, po czym zarządził wymarsz. Ruszyli wijącym się między skałami szlakiem, gdzie dwóch ludzi nie mogło iść ramię przy ramieniu. Po południu, na postoju, tymczasowe obozowisko obieğa wieść jakoby byli w stanie dotrzeć do najbliższego przyjaznego osiedla w przeciągu jednego dnia. To podniosło nadwyrężone morale drużyny. Ska, którego umysł pragnął nadziei na szybki kres drogi, sam aktywnie rozpowiadał dobrą nowinę. Natchniona drużyna nie wiadomo skąd odnalazła w sobie nowe siły i ruszyła takim tempem, że zazwyczaj będący cztery kroki przed nimi Hamnon nie

nadążał za drugim szeregiem. Dotarłszy na szczyt wzniesienia, skąd mieli całkiem niezły widok na okolicę, byli w stanie dostrzec kominy i plecione z listowia dachy domostw. Ze wzgórza zdawało się, iż są w zasięgu skoku od osady, jednak pobieżna analiza, jaką przeprowadził Ska wykazała, że nim dotrą do celu będą musieli pokonać jeszcze jedno wzniesienie oraz przekroczyć rzekę. Te dwie przeszkody byłyby w stanie faktycznie pokonać w jeden dzień gdyby utrzymali bieżące tempo. Przyszłość wyglądała więc Optymistycznie.

Odsapnąwszy oddział Hamnona przystąpił do trudnego zejścia. Zajęło im ono więcej czasu niż chłopak przypuszczał i nim dotarli na w miarę prosty grunt słońce było już nisko nad horyzontem. Kapitan, dotąd zachowujący względny spokój, wysunął się naprzód pochod i rozkazał zwolnić tempo. Jego wzrok znów zaczął z uwagą lustrować każdy krzak i zagłębienie terenu. Niedoszły mag domyślał się, co jest powodem. Dopóki znajdowali się na krętych skalnych drózkach groźba kolejnego ataku była mniejsza. Napastniczki mogłyby jedynie walczyć jeden na jednego, przy czym uzbrojeni w stal, twardzi żeglarze mieliby w takiej konfrontacji znaczną przewagę. Na szczycie byli jeszcze bezpieczniejsi, bowiem czarne bestie musiałyby tam docierać pojedynczo i w ten sposób jedna atakująca walczyłaby z czterema, bądź pięcioma obrońcami jednocześnie. Teraz jednak z każdym krokiem oddalali się od pochyłego, skalistego stoku i znów zagłębiali się w las stanowiący znakomite miejsce do prowadzenia wojny szarpanej, z czym całkiem dobrze radziły sobie ich prześladowczynie. Rozumiejąc rosnące zagrożenie, drużyna maszerowała teraz w zwartej grupie. Ska pośrodku, z każdej strony eskortowany przez swych towarzyszy wiedział, iż w razie kolejnego starcia nie wyłga się zaskoczeniem i będzie musiał się ujawnić, bądź udzielić magicznego wsparcia kamratom. Postanowił więc przygotować kilka zaklęć, jakich zdołał się samodzielnie nauczyć mając nadzieję, że odniosą chociaż efekt psychologiczny i na moment zdezorganizują szyki wroga. Przy odrobinie szczęścia przekonają również towarzyszy

chłopaka o jego przydatności w drużynie. Ostatnim miejscem bowiem, w jakim chciałby się znaleźć sam, była właśnie ta dżungla. Co zadziwiające, Ska otrzymał znacznie więcej czasu na magiczne przygotowania niż się spodziewał. Po dwóch godzinach większość inkantacji, jakie znał, była już gotowa, tymczasem wróg wciąż się nie pojawiał. Niedopowiedziane zaklęcia stanowiły obecnie arsenał chłopaka znacznie groźniejszy niż miecz, jakim uprzednio bronił śmiertelnie ранnego żeglarza. Taką przynajmniej miał nadzieję. Tymczasem marynarze maszerowali dalej, natomiast po żadnych krwi kobietach jakby słuch zaginął. Oddział Hamnona dotarł na rozległą polankę otoczoną kręgiem drzew, po czym kapitan kazał przygotować obóz na noc. Członkowie ekspedycji zrzucili więc z barków ekwipunek i wzięli się za toporki. Nim nadszedł zmrok obóz był gotowy. Krąg z ognisk zabezpieczono przy tym okalającym rowem, co w nadziei podróżników miało spowolnić ewentualny, nocny atak i pozwolić im przygotować się do starcia. Gdy jednak już zapadł zmrok i pojawiły się komary, między drzewami nie dostrzegli innych ognisk. Oznaczało to, iż napastniczki zostały z tyłu. Mimo to, chyba nikt w obozie tej nocy nie spał spokojnie. Zamiast tego ponownie żeglarzy nawiedziły koszmary. Te natomiast zmieniały się w fałszywe alarmy, gdy spanikowani podróżnicy budzili się z wrzaskiem w przekonaniu, iż właśnie ich zaatakowano. Ostatecznie, trzeci świt zastał obóz pełen wilków morskich o podkrążonych oczach. Drużyna Hamnona zbierała się do drogi powoli. Wśród marynarzy zapadło pewne odrętwienie. Ska również podzielał to uczucie. Był niemal rozczarowany brakiem starcia poprzedniego dnia. Ba, gdy ponownie podjęli szlak, chłopak był przekonany, że bitwa sprawiłaby, iż w nocy spałby lepiej i teraz maszerowałby żwawiej. Po południu ponownie uderzył skwar. Na domiar złego zaczynała się kończyć woda, natomiast widziana poprzedniego dnia ze szczytu rzeka jakby się od nich oddalała. Kolejne godziny wędrówki okazały się mordercą niemal nie do zniesienia. Woda w bukłakach się skończyła, natomiast grunt zmienił się w malaryczne bagna. Powietrze przesycił odór siarki i gnijącej roślinności. Szlak

ponownie się zwęził. Tym jednak razem był niemal zamazany. Ska siedł obok Asztoma. Wspierali się wzajemnie. Ich włosy zlepił pot, natomiast w butach chlupotała woda, z czym kontrastowała suchość gardeł. Drużyna posuwała się obecnie żółtym tempem. Każdy kolejny krok był torturą nie do zniesienia. Ska czuł, że otchłań mogłaby być przyjaźniejszym miejscem. Nim zauważyli, członkowie oddziału Hamnona stracili dwóch przyjaciół, jeden z marynarzy w pewnym momencie oddalił się na stronę i już nie wrócił, drugi natomiast padł z wyczerpania, a miękka ziemia błyskawicznie wessała jego bezwładne ciało. Nim zdążyli zareagować, wilk morski z wytatuowanym trójzębem dosłownie zapadł się pod ziemię. Co prawda dwóch towarzyszy próbowało go łapać, jednak ich ręce na nic nie natrafiły w miękkim gruncie, sami natomiast musieli się szybko wycofać, gdyż nim zauważyli ich nogi zapadły się już po kolana. Tak więc w okrojonym składzie pomaszerowali dalej. Droga wiała się i kręciła, aż nagle wyszli na piaszczystą połąć terenu. Niewielkie piaskowe wzniesienie kończyło mokradła, natomiast za nim otwierała się spokojna szafirowa tafla.

— Rzeka! — wyrwało się z niejednego gardła, a przed momentem skonani podróżnicy, z okrzykami radości ruszyli w stronę brzegu, w biegu otwierając bukłaki. Ska z Asztomem nie wiadomo kiedy znaleźli się na czele i gdy już byli na odległość skoku od upragnionej wody, przed ich stopami wbiły się w piasek cztery kamienne groty. Mieli szczęście, zdołali bowiem zatrzymać się w ostatniej chwili. Marynarz sadzący susy po ich prawej, nie zorientowawszy się w porę, chwilę później osiągnął brzeg przeszyty sześcioma strzałami. Hamnon i rudobrody żeglarz z kolczykiem w jednym uchu stanęli zaraz za Ską.

— Na jaja Peruna Hamuna, władcy mórz! — zaklął Hamnon.

— Te czarne poczwary odcięły nas od brzegu. Co teraz? — zapytał rudobrody, a Ska i Asztom rozejrzeli się bezradnie. Na przeciwległym

brzegu rzeki, gdzie okiem sięgnąć, na drzewach siedziały ciemnoskóre wojowniczeki z łukami. Ich krzyki niosły się wzdłuż rzecznej toni, natomiast piaszczysty brzeg barwiła krew.

— Zrobiły z Marachbala Jeżokota nim sięgnął brzegu, a on był tylko nieco wolniejszy ode mnie, to znaczy, że żaden z nas nie zdołał dobiec do brzegu i wrócić cało — zauważył Asztom. Po czym cała czwórka przysiadła na piasku.

Zachodzące słońce odbijało się czerwoną luną w rzecznej toni. Tymczasem czterech mężczyzn leniwie ciągnęło wzdłuż brzegu. Brakowało im wody, mimo jej bliskości. Gdzie okiem sięgnąć przeciwległy brzeg obsadziły ich przeciwniczki, wciąż trzymające łuki w gotowości. Obnażone strzały, swymi zadziornymi grotami, szyderczo szczyrzyły się w ich stronę. Na zakręcie, gdzie rzeka miejscowo stawiała się szersza, Asztom usiłował jeszcze raz podjąć wodę. Dotarł niemal do brzegu, jednak czarne napastniczki wypuściły mu na powitanie chmurę strzał. Chłopak zdołał się szczęśliwie cało wycofać, jednak bez życiodajnego płynu. Od tej próby minęła dobra godzina. Ska wiedział, iż następnego dnia będzie im jeszcze trudniej. Szczególnie, że wróg zapewne podejmie próbę definitywnego ich pokonania. Obecnie wojowniczeki na dystans trzymała zapewne jedynie pamięć o stratach, jakie im zadali podczas ostatniej potyczki. To jednak nie mogło służyć im za tarcze w nieskończoność, szczególnie, że było ich teraz zaledwie czterech. Otuchy jednak dodawał chłopakowi fakt, iż czarnoskóre odczuwały wobec drużyny pewien respekt. To nieco je cywilizowało w jego oczach.

Ostatnie promyki zachodzącego słońca łagodnie muskały twarz Ski, gdy wraz z towarzyszami siedział na szczycie przyrzecznej wydmy. Za nim bulgotało bagnisko, natomiast przed nim piętrzyła się sęta zaledwie umownie suchego drewna. Jedyne, jakie udało się zdobyć w sercu dziczy, gdzie się znaleźli. Na przeciwległym brzegu rzeki

jaśniały, wysoko buchające płomienie ognisk czarnoskórych wojowniczek. Tego wieczoru komary zjawiały się wcześniej. Żaden z podróżników nie zdołał uniknąć co najmniej kilkunastu ukąszeń. Na wpół zamoczone drewno dawało więcej dymu niż ognia i pomimo wysiłków Asztoma i Ski płomienie nie były w stanie skutecznie osłonić drzemających. Zmagania trwały pół nocy, potem nastąpiła zmiana. Ska zapadł w przypominające sen odrętwienie ciała i umysłu, wyciągnięty na niewielkim, cienko tkanym pledzie, którego druga część służyła za nakrycie. Ranek nadszedł szybko, bez wody i nadziei. Jej ostatnia iskra zgasła również w oczach kapitana Hamnona. Stary żeglarz wiedział, co ich czeka. Mieli przeciw sobie grupkę około piętnastu dzikusów z puszczy. Niemniej w obecnym stanie nie byli zdolni odeprzeć uderzenia połowy tej liczby. Niewielkie szanse, jakie posiadali poprzedniego dnia stopniały do zera. Wróg zapewne też to wiedział bowiem odlot komarów powitały dzikie wrzaski, którym towarzyszył chlupot spuszcanych na wodę czółenek. Przeciwniczki szykowały przeprawę. Spiłowane zęby wiosłujących zawzięcie kobiet połyskiwały wyszczerzone w zaborczych uśmiechach. Kompania Hamnona nie była w stanie przywitać natarcia na brzegu, bowiem podczas przeprawy dziesięć wojowniczek osłaniało pięć, pozostałych na przeciwnym brzegu łuczniczek. Mężczyźni zgrupowali się więc wokół zeszłonocnego obozowiska zajmując szczyt wydmy. Dodawało to im nieco pewności siebie, jednak nic poza tym. Przy tej dysproporcji walka nie mogła potrwać długo. Ska, na szeroko rozstawionych nogach, z zagiętym mieczem żeglarskim w ręku oraz pękiem niedokończonych zaklęć na końcu języka, przyjął natarcie pierwszej napastniczki. Kobieta uderzyła z szybkością węża. Markując cios maczugą od góry zanurkowała pod zasłoną chłopaka chcąc ramieniem staranować splot słoneczny przeciwnika. Skę przed powaleniem ocalił refleks oraz instynktowna zasłona. Atakująca wparowała w przestrzeń między łokciem a kolanem odskakującego chłopaka, ten natomiast wykorzystał chwilę by odpłacić przeciwniczkę płytkim cięciem przez plecy. To bynajmniej nie wystarczyło by ją zniechęcić jednak sprawiło,

iż stała się ostrożniejsza. Wycofała się nieco i poczekała na wsparcie sojuszniczki. Chwilę później Ska miał naprzeciw siebie dwie wojowniczkę. Chłopak wiedział, że siłowo nie ma możliwości wygrać z nimi pojedynku. Jego jedyną szansę stanowiła prędkość oraz nadzieja na to, iż dzikie okażą się niezbyt zgranym duetem. Trójka walczących, po serii wzajemnych, niezbyt głęboko wymierzonych ataków testowych, zaczęła zabójczy taniec. Ska, wykorzystując nieskoordynowanie przeciwniczek oraz przewagę uzbrojenia, zdołał wymknąć się na otwartą przestrzeń, porzucając walkę obronną w kręgu. Dzięki temu mógł wrócić do przyswojonej w młodości i dobrze przećwiczonej własnej formy prowadzenia pojedynku. Co prawda, krótki zakrzywiony miecz nie bardzo się sprawdzał, jednak maczugi napastniczek były przy tym niewspółmiernie gorszą bronią. Ich prostych ataków Ska był w stanie z łatwością uniknąć, w porę wykradając się poza zasięg ciosów. Niemniej nieprzerwane uchylanie się i sporadyczne parowanie uderzeń miało też swoją cenę. Chłopak oddalał się od towarzyszy i cofał w stronę rzeki. Jego przeciwniczki natomiast z każdą chwilą pojedynku lepiej współpracowały. Praktyka, przypłacona kilkoma nacięciami wykorzystującego każdą okazję do zadania ciosu Ski, nauczyła dzikie, że flankowanie przynosi dobre efekty. Od tego momentu chłopak zaczął walczyć o przetrwanie. To natomiast nie trwało długo. Serię zaciętych napadów później, w butach Ski zachlupotała woda. Jego przestrzeń obronna się skończyła. Wyższa z przeciwniczek, ze zwycięskim wrzaskiem na ustach, runęła na chłopaka, a ten zajęty parowaniem ataku jej koleżanki, nie był w stanie wystosować właściwej zasłony. Chwilę później szamotał się w wodzie, usiłując jedną ręką utrzymać zęby kobiety z daleka od swego gardła, drugą natomiast wyswobodzić z uścisku jej sojuszniczki. Dłonie przygniatającej chłopaka kobiety zacisnęły się na jego gardle i przez moment wszystko wokół zalała fala rozpienionej wody. Ska zdołał się wyswobodzić i zaczerpnąć haust powietrza, ale trwało to krótko, bowiem napastniczka jedynie poprawiła chwyt. Powracając w odnemy, na wpół świadomie Ska cisnął przed siebie jedno

słowo pewien, iż jest to jego ostatni krzyk. Cztery uderzenia serca później ze zdziwieniem odkrył, że jest wolny. Jego niedoszła zabójczyni z rykiem zdziwienia wylądowała na drugim końcu plaży, zalewana strumieniem tej samej wody, w której chciała utopić Skę. Wykorzystując niespodziewaną przewagę, chłopak przerzucił cały ciężar ciała w lewą stronę lądując na plecach niższej z atakujących. Czarnoskóra, do niedawna próbująca pewnie uchwycić ramię Ski, zanurkowała w rzece. Wyswobodziwszy się całkowicie, młody mag powstał odskakując od spienionej toni. Jeden rzut oka wystarczył mu by zrozumieć, iż nie tylko on walczył w pojedynkę o życie. Rudobrody wrzeszczał na całe gardło przygnieciony ciężarem trzech wojowniczek, z których jedna już zaczęła konsumować jego unieruchomioną prawicę. Hamnon z nogami na wpół zatopionymi przez błoto bronił się przed dwoma czarnoskórzymi. Asztom szamotał się niby dzikie zwierzę okrążony przez żądne krwi dzikuski. Ska ruszył w jego stronę, częstując po drodze swoją niedoszłą zabójczynię solidnym kopniakiem w szczękę. Biegąc w stronę towarzysza wykrzykiwał ostatnie słowa kolejnych zaklęć, natomiast magicznie poruszona rzeka występowała z brzegów. Czarodziejska odsiecz uderzyła w tym samym momencie co Ska. Chłopak w biegu ciął w zgięcie kolana czarnoskórą już unoszącą maczugę do druzgocącego czaszkę Asztoma ciosu, po czym rzucił o ziemię chłopca okrętowego, dzięki czemu ten w ostatnim momencie uniknął ataku kolejnej, zachodzącej go od tyłu, wojowniczki. Tymczasem magicznie wywołany wodny bicz powalił trzy kobiety atakujące z lewej, natomiast ta atakująca od prawej, uderzona z tyłu strumieniem bagiennej wody, zaryła twarzą w stok wydmy. Powstając, oszołomiony kolejnym upadkiem młody mag, ciął na odlew szykującą się do następnego ataku czarnoskórą, po czym uderzył sztychem miecza głowę jednej ze wstających. Chrupnięcie kości poinformowało chłopaka o skuteczności ciosu. Asztom w tym samym momencie zakończył żywot dwóch innych dzikusiek. Ska odwrócił się, gotów przyjąć atak następnej przeciwniczki tej jednak nie było. Sześć pokaleczonych, zakrwawionych, ale wciąż

żywych napastniczek wycofywało się do łodzi wlokąc za sobą nieprzytomnego, rudobrodego marynarza. Ska chciał ruszyć mu z pomocą, jednak w miejscu zatrzymała go ręka Asztoma

— Jemu już nie pomożesz, a Kapitan tymczasem utonie w mokradle! — krzyknął, natomiast Ska poprowadził spojrzeniem za ręką towarzysza. Hamnon zapadł się już po ramiona. Dłonie dowódcy ekspedycji bezskutecznie ślizgały się po korze rosnącego tuż obok drzewa w poszukiwaniu oparcia. Asztom miał rację. We dwóch nie mieli większych szans pokonać sześciu przeciwników, natomiast nawet jeśli im się udało, Rudobrody prawdopodobnie i tak umarłby, gdyż dzikuski zdołały wygryźć mu w ramieniu dosyć pokaźną, obficie krwawiącą dziurę oraz strzaskać nogę. Wydobywszy kapitana z bagna oraz dobiwszy rannych, ocalała trójka wzięła się za opatrywanie ran. Właściwie to Ska, jedynie posiniaczony i podduszony, przyjął na siebie obowiązki pielęgniarza. Napalił ogień i umieścił w nim ostrze swego miecza. Wodą z rzeki przemył poharatane plecy Asztoma, po czym polecił chłopakowi położyć się na rękach Hamnona. Sam przycisnął nogi kapitana kolanami i wetknął mu pasek między zęby. Na skutek tych zabiegów on i Asztom zaliczyli twarde lądowanie pół metra dalej, gdy Ska dotknął czubkiem rozgrzanego do białości miecza w wygryzioną ranę na brzuchu Hamnona. Żaden z mężczyzn nie miał później wątpliwości, że ryk kapitana obudził z wiecznego snu ich pochowanego w górze rzeki kompana i zapewne kilku innych, którzy utonęli w bagnie. Niemniej opatrzywszy rany, Hamnon, Asztom i Ska postanowili wykorzystać pozostawione na brzegu czółno oraz najgorętszą porę dnia, by podjąć ostatni etap podróży ku niezmiernemu bogactwu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Chciwość

Dzikie mieszkanki lasu najwyraźniej porzuciły ich trop, gdyż nie niepokoiły ich już tego dnia. Nim słońce zaczęło czerwieniec, czółno dobiło do drewnianego, wiązanego pomostu z bali.

Opuścili rzekę szczerymi uśmiechami witając pierwsze oznaki cywilizacji, na jakie natrafili. Była to niewielka osada, przytulona do zbocza najwyższej w okolicy góry. Otoczona ostrokołem oraz niezbyt głęboką suchą fosą, kusiła podróżników obietnicą bezpieczeństwa i ciepłej strawy. Entuzjazmu nowo przybyłych nie podzielili mieszkańcy wsi witając Skę, Asztoma i Hamnona pełnymi niechęci spojrzeniami oraz dziwacznymi gestami skrzyżowanych palców. Dopiero naczelnik wioski, niewysoki, krępy mężczyzna z dwoma mieczami u pasa, powitał nowo przybyłych prawdziwie ciepło, choć jak na gust Ski aż nazbyt wylewnie. Uśmiechnięta twarz grubasa złożyła soczysty całus na poliku każdego z przybyszów, nim wypowiedziawszy słowa powitania, zaprosiła ich gestem do nisko sklepionej, pachnącej sianem i dymem chatynki. Wewnątrz przez chwilę poruszali się po omacku oślepieni półmrokiem, gdy jednak ich wzrok zdołał przyzwyczaić się do nowych warunków, ujrzeli okrągłe wnętrza z rozłożonymi pod balowymi ścianami siennikami. Zabudowanie nie posiadało okien, jedynie osmoloną dziurę u szczytu dachu którejś wydostawał się dym z umiejscowionego pośrodku paleniska. Nad ogniem zawieszono, na podczepionych pod obelkowanie dachu łańcuchach, żelazny okap z kawałkiem okucia u szczytu. Pod

przeciwległą wobec wyjścia ścianą domostwa stało wygodne, zarzucone skórą krzesło. Wokół niego leżały wysokie sterty różnorodnych cennych rupieci, począwszy od nadłuczonych, gęsto zdobionych dzbanów, zawierających zapewne wino lub oliwę, a skończywszy na stertach złotych monet z różnych okresów. Na rewersach można było dostrzec zarówno kwitnącą jarzębinę z czasów dawniejszych Arcymgów jak i obustronny młot barbarzyńców. Między nimi zaś spoczywało kilka srebrnym blaskiem nęcących numizmatów z czasów Raona i Imperium Karthago Nova. Ska, oszołomiony bogactwem, zapomniał się przywitać z dwoma młodkami o przestraszonych obliczach, które na widok wprowadzającego gości ojca, stanęły przed krzesłem i spuściwszy pokornie oczy, oczekiwały na dalszy rozwój wypadków.

— Wejdźcie, wejdźcie i poznajcie me córę, młodzi kawalerowie — oto Nia i Sia. Obydwie po pierwszym brukaniu — zaprosił ich z jowialną bezpośredniością gospodarz, na co Ska odpowiedział, słabo skrywającym zniesmaczenie brakiem kultury, uśmiechem.

— Kapitana Hamnona już znacie, gościł u nas wcześniej, ale nie tych dwóch pierwogolnych młodzianów... — kontynuując wprowadzenie, naczelnik zawiesił głos znacząco zerkając na nowo przybyłych.

— Skę i Asztoma — podsunął Hamnon.

— Skę i Asztoma radzi jesteśmy ugościć po raz pierwszy — kontynuował.

— Nie żałujcie im niczego, bowiem dowiedli swego męstwa docierając przez spiekotę i niepokodę Krwawego Lasu, aż tu — zakończył zwracając się tym razem głównie ku córkom.

Dziewczęta jakby wybudziło to z letargu. Podczas gdy ich rodzic usadzał przybyszów wokół ognia, one zniknęły, pośpiesznie truchtając

w drzwiach chatynki, by za chwilę pojawić się z koszami różnorodnych owoców na rękach. Większość z nich Ska widział po raz pierwszy. Spróbował jednego, jednak czując w ustach obcy, pozbawiony słodczy smak, postanowił ograniczyć ten posiłek jedynie do ilości zaspokajającej głód i pragnienie. Szczęśliwie jego kompanom dopisywał apetyt w znacznie większym stopniu, bo inaczej Ska mógłby się obawiać, że miska z niedokończonym posiłkiem mogłaby urazić gospodarza. Skończywszy się posilać Hamnon i Asztom sięgnęli po podane im rogi wypełnione po brzeg winem. Pierwszy z nich, wprawnym ruchem przechwyciwszy róg, upił z brzegu rubinowego płynu, po czym wymownie splunął w palenisko. Jego gospodarz zrobił to samo, tymczasem Asztomowi wylało się nieco, nim zdążył spróbować. Naczelnik skwitował to kwaśną miną. Młodsza i niższa z dziewczyn podała kolejny róg Sce, szepnąwszy przy tym do ucha chłopakowi

— Spróbuj i wypłuj, by duchy domu nie pozazdrościły wina, jakie piją żywi, uważaj żeby nie rozlać — chłopak odebrał róg, jednak brak refleksu sprawił, że część poleciała po boku naczynia. Nie chcąc urazić domowników wyszeptał krótkie zaklęcie i wino zawróciło zaraz przed klepiskiem i wleciało do otwartych ust Ski. Chłopak pochwyciwszy trunek przemieszał go kilkukrotnie w ustach i splunął w palenisko. Naczelnik podsumował ten wyczyn uniesionymi w wyrazie podziwu brwiami, po czym roześmiał się na całe gardło. Hamnon dołączył do niego, a po chwili śmiali się wszyscy przebywający w domu Naczelnika. Gdy atmosfera się uspokoiła Naczelnik zagaił do Hamnona

— Jak minęła podróż przez Krwawy Las? Wybraliście się mniejszą grupą niż zwykle, jak widzę. Okolica już dla ciebie tak znajoma, że zaledwie dwóch młodych bierzesz do towarzystwa? —

— Bynajmniej. Wyruszyliśmy w dziesięć osób, siedmiu moich towarzyszy zabiły te przekłete czarne diablce. Nie powinienem ufać paktom zawartym ze Starszym mężem —

— Nie powinienesz oszukiwać Starszego męża. Jeśli zostawił dziewczyny żeby na ciebie czekały zamiast iść do letniego obozu, znaczy to, że wciąż chowa urazę, a sprawę wziął do siebie. Ostrzegałem cię żebyś nie próbował niczego osiągnąć Pirackim targiem. Plemię Zonanist ceni honor i nie zapomina zerwanych umów —

— Ten przeklęty dzikus chciał połowę mojego skarbu za przewodników i prawo przejścia. Dałem mu aż cztery sakwy srebra, ciekawe od kogo dowiedział się, że było trzy razy więcej — odpowiedział Hamnon podejrzliwie łypiąc w stronę kompana. Naczelnik jedynie wzruszył ramionami.

— Zonanist mają swoje sposoby. Myślałeś, że te kobiety wybierają sobie męża jedynie ze względu na muskularną sylwetkę? Starsi mężowie ponoć umieją zaglądać w umysł i rozmawiać z duchami, Apami i zwierzętami — sprostował gospodarz, po czym przełknął potężny haust wina. Do Ski tymczasem podkrađła się Sia, dziewczyna przedtem podająca mu trunek. Przesunęła dłonią po ramieniu chłopaka szepcząc mu do ucha

— Pomożesz przy winie, dzban jest strasznie ciężki? — po czym ruszyła w stronę wyjścia, zaraz za swoją siostrą. Ska szybko wypił resztę zawartości swojego rogu, a widząc, iż zajęci konwersacją Hamnon i Naczelnik nie zwracają na niego uwagi, wysliznął się poza chatę. Na zewnątrz było chłodno i niemal całkiem ciemno. Wokół chaty Naczelnika płonęły gęsto kopcające się łuczywa. Dziewczynę Ska dostrzegł z tyłu domu. Mocowała się z wysokim jak ona dzbanem usiłując nalać trochę z jego zawartości do trzymanego przez jej siostrę rogu. Ska zaszedł dzban z drugiej strony i pomógł go przechylić. Nia szybko napełniła dwa rogi z lejącej się stróżki, po czym zdecydowanym krokiem wróciła do chaty. Ska pomógł odstawić i zatkać dzban. Sia była szczupłą nastolatką o nieco mniej wyłupiastych oczach niż jej siostra.

Niewielkie wzgórki piersi rysowały się pod jej lnianą bluzką. Uśmiechnęła się do Ski i zapytała czy pomoże jej też pozbierać drewna do paleniska. Wziął jedną z żagwi i podążył za dziewczyną do lasu poza obóz. Tam przez dłuższy czas zbierali w milczeniu drewno, a Ska zastanawiał się jak zagaic rozmowę. Miał pustkę w głowie i mimo, że jego towarzysza odnosiła się przyjaźnie, nie do końca wiedział czy jej prośby miały również inny cel poza tym, co wyrażały. Minęło trochę czasu nim z rękami pełnymi drewna wrócili do chaty. Ska cały ten czas bił się z myślami jak odnieść się do córki Naczelnika. Wróciwszy do budynku zastał Asztoma wciśniętego w ścianę, z ponurą miną obserwującego coraz bardziej podchmielonych Hamnona i Naczelnika. Ten ostatni, otępiąłem od nadmiaru wina głosem, perorował właśnie jak to wspańiale byłoby wydać jedną z jego córek za Skę. Nia, równie szczupła jak jej siostra, jednak o bardziej płaskiej twarzy i równie małych piersiach, siedziała na przeciwległym wobec Asztoma krańcu chaty, zatopiona w myślach. Gdy tylko Ska wszedł do domostwa w towarzystwie jej siostry, Sia zajęła miejsce obok Ni ignorując głos zapijaczzonego rodzica, który zapytał retorycznie

— Czyż nie wspaniale razem wyglądają? — po czym nie trafiwszy rogiem do ust opadł beładnie na wyściełany skórami fotel. Moment później spał już głębokim, niespokojnym snem. Hamnon zaraz po nim spoczął na słomie i dołączył do towarzysza w krainie Morfeusza. Aszom poszedł w ślady kapitana, podobnie jak dziewczęta — ojca. Dłużej przytomny pozostał jedynie wpatrujący się w dogasające palenisko Ska. Jednak wkrótce zmęczenie oraz mrok nocy wezwały i jego.

Obudził się przed świtem. Aszom właśnie wstawał, natomiast dziewcząt nie było już w chacie. Jak wyjaśnił później Naczelnik, z samego rana wyruszyły z resztą kobiet nad rzekę. Podczas śniadania Ska zastanawiał się czy skarb, po który przybyli, nie znajdował się właśnie w kupach wokół fotela zarządcy wioski. Teraz, w blasku świtu, góry

złota i srebra wyglądały jeszcze okazalej niż poprzedniego wieczoru. Tymczasem Hamnon, jak to wynikało z jego konwersacji z Naczelnikiem, już raz oszukał swego gospodarza. Ta koncepcja nie podobała się Sce, ale chłopak brał ją pod uwagę, dopóki Hamnon nie dorzucił do stosu trzymanej dotąd za paskiem sakiewki. Naczelnik uśmiechnął się tak szeroko jak to tylko było możliwe, po czym wyprowadzwszy ich poza wioskę życzył byłym gościom udanej podróży. Następnie rozdzielili się. Przywódca osady zawrócił, natomiast Ska, Asztom oraz Hamnon podjęli dalszą podróż. Gdy tylko grupa wkroczyła w cień lasu, a ich niegdysiejszy gospodarz zniknął z pola widzenia, Kapitan zatrzymał się, po czym ściągnąwszy chłopców z drogi zwrócił się do Ski z powagą, jakiej ten jeszcze u niego nie widział.

— Tutaj zaczyna się ostatni etap naszej wyprawy. Nie będę ukrywał, że dotąd oszczędzaliśmy cię magu z myślą właśnie o tej chwili. Niedługo będziemy potrzebować całej mocy, jaką dysponujesz, a od tego czy podołasz czy zawiedziesz będzie zależeć sukces bądź porażka tej ekspedycji. Więc teraz skup się, bo gdy dotrzemy do celu, zobaczymy ile jesteś wart — rzekł, po czym odwrócił się i wrócił na szlak. Ska nie do końca jeszcze rozumiejący powagi słów Hamnona chciał podążyć za nim, jednak wstrzymała go dłoń Asztoma.

— Na bagnach obaj widzieliśmy, do czego jesteś zdolny. Pamiętam co robiłeś, więc powiem ci to tylko raz. Wycofaj się. Powiedz kapitanowi, że jesteś pomyłką, że nie dasz sobie rady i zrezygnuj. Stary powścieka się, ale pewnie uda nam się go przekonać żeby nie zostawiał cię na tej wyspie — syknął, natomiast zbity z tropu, niedoszły mag, nie znalazł na ten niespodziewany atak odpowiedzi.

— Unikaj rozczarowania — usłyszał jeszcze od podążającego śladem przywódcy okrętu Asztoma, po czym bezwiednie ruszył za towarzyszami. Początkowo sam nie wiedział co myśleć. Potem natomiast

ogarnęła go wściekłość. Chłopak okrętowy zdawał się wiedzieć za dużo jak na swoją pozycję, co jednak najgorsze, Ska musiał w duchu przyznać mu rację. Jakiegokolwiek próby go nie czekały wymagały zapewne mocy doświadczonego maga, tymczasem ich grupa, bez względu na to, co myślał kapitan, takiego wsparcia była pozbawiona. Ta świadomość miała ciążyć Sce aż do kresu ich podróży.

SPIIS TREŚCI

Prolog	10
Narodziny Maga	13
Brzegi Dyn	19
Rzeka	25
Chciwość	34
Próba	41
Ostatnia Kapłanka	50
Zatoka Odmieńców	57
Kłątwa Karthago Nova	63
Honor Pirata	73
W Stronę Domu	83
Epilog	97
Historia Równiny	101



Ska, młodzieniec którego życie legło w gruzach,
przypadkowo zostaje wplątany w pełną
niebezpieczeństw przygodę na niezbadanym
odległym lądzie. Czy szczęście oraz wciąż
niewykształcony talent magiczny wystarczą,
by przetrwał podróż w towarzystwie żądnych
skarbu piratów, uważających go za kogoś
zupełnie innego?

ISBN 978-83-940374-8-2



9 788394 037482